

# Latawica



MICHAŁ BAŁUCKI

## Latawica

Z samego Krakowa jechałem do Zakopanego na jednym wózku ze sławną literatką. Literatkę — sławną, podług jej własnej opinii — nazywam Gwiazdą, gdyż na każdym kroku, w każdym przemówieniu, chciała uchodzić za ciało niebieskie, co światu przyświeca.

Gwiazda przekonana była, że w ciągu dni kilku pozna górali z ich historią, z obyczajami, językiem i poezją — i to wszystko opisze na pożytek pokoleń. Miała też z sobą zapas różnokolorowego papieru, do wpisywania spostrzeżeń, domysłów i badań. Tylko natchnieniem — siedząc w chacie — myślała podzielić sławę i zasługę z Kolbergiem, Glogerem, Łepkowskim...

Tak myślała Gwiazda — a przecież warjatką nibyto nie była.

Przybywszy do Zakopanego, umieściłem ją na Krupówkach, gdzie niebawem zasiadła do pisania artykułu, sam zaś wróciłem z wózkiem przed karczmę, by sobie wyszukać także jakie mieszkanie, gdziebym mógł wypocząć, zmęczony jazdą i towarzystwem.

Niebawem rudy Żyd, ujrawszy mnie przez okno, wyszedł z karczmy i począł zachwalać swoje gościnne pokoje, do których, jak utrzymywał „największe państwo” zawsze zajechał. Musiało tego pańskiego gatunku brakować tego roku w Zakopanem, bo pokoje owe stały pustką — a przez otwarte okienka zobaczyłem zamiast „wielkiego państwa” starą góralkę, czeszącą kędzierzawe łebki żydowskich bachorów. Niebardzo to zachęcało do zejścia z wózka, dla bliższego obejrzenia zachwalonego mieszkania.

Spostrzegło to kilku górali siedzących przed karczmą, zbliżyli się do mnie i począli radzić inne mieszkania. Jedni zachwalali dom Wali, przewodnika, drudzy Sierockiego, Wojcieszkę, Krzeptowskiego. Nim miałem czas zdecydować się na wybór, wybiegła z karczmy młoda góralka, nędznie i biednie ubrana, a zbliżywszy się do wózka i przepchawszy się gwałtem przez otaczających mnie górali, chwyciła poufale za mój rękaw i począła żywo przemawiać:

— A to chodźcie do nas — na Chranczówki — ot tam za rzekę. Wyonaczymy<sup>1</sup> wam izbę jak się patrzy, i będzie wam jak w raj.

— Idź precz, ty latawico, cyganko — ofuknął ją młody góral i odtrącił od wózka, a zwracając się do mnie, rzekł: nie wiercie jej, panoczku — nie jedźcie tam, bo tam obdalnio<sup>2</sup> i nieswojsko; jeszczeby was tam okradli.

— Żebyś ty tak zdrow był, jak to prawda. Ty oparo jakaś, ty — i przyskakiwała z pięścią do górala, a czarne jej oczy aż pozieleniały z gniewu. Dopiero, kiedy jej począł, niezastraszone pogroźkami, wyliczać nazwiska znakomitszych mistrzów w tej sztuce i przeróżne ich przestąpienia siódmego przykazania, powołując się na świadectwo obecnych, góralka przycichła i z pod czoła spoglądała ponuro na mówiącego. Gdy skończył, mruknęła:

— Wszędy ludzie jednako — są źli, są i dobrzy, nie tylko na Chranczówkach. Albo to u was — mówiła patrząc na mnie — nie kradną, choć macie dziandarów w miejscu i sąd przenaświętszy.

Uwaga była bardzo trafną, mimo to nie miałem wcale ochoty robić osobiście doświadczenia, ilu uczciwych, a ilu nieuczciwych ludzi znajduje się na Chranczówce i zdecydowałem się, umieścić siebie i kuferek, a z nim skromną moją kasę literacką, w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Nie zważając tedy na dziewczynę, która nie odstępowała ani na

<sup>1</sup>Wyonaczymy (gw.) — wyczyścimy. [przypis autorski]

<sup>2</sup>obdalnio (gw.) — daleko. [przypis autorski]

chwilę wozu i patrzyła się zmyślnie we mnie, jakby mi chciała namysł z twarzy wyczytać, spytałem najbliższego stojącego górala:

— A gdzie ten Wala mieszka?

— Ja wam pokażę — zawołała prędko góralka, uprzedzając odpowiedź górala — jedźcie za mną.

To powiedziawszy, wybiegła naprzód i gestami zachęcała mego woźnicę, aby jechał za nią; spojrzawszy na górali, radząc się ich wzrokiem, co zrobić i powtórnie odezwałem się, aby się pozbyć dziewczyny natrętnej.

— No, któż z was pokaże mi drogę?

— A niech ona pokaże, kiedy jej tak chodzi o to. Ktoby ta z nią chciał się użerać o lada krajcar, — odrzekli, z lekceważeniem spoglądając na góralkę.

— A czy ona mi dobrze pokaże?

— Ba, co by nie — jak jej godnie<sup>3</sup> zapłacicie, to wam i rodzzonego ojca sprzeda, bo ona to za krajcarem w piekłoby polecała. To chytra niewiasta, co strach. Żadnego gościa nie przepuści, żeby od niego coś nie wymęczyć.

— A i tak chodzi jak dziadówka — wtrącił jakiś młody.

— A, bo pieniądze na lichwą pożyczka. Mało jej to przypadło u Sobka! Powędrował na Węgry loni<sup>4</sup> i przypadł razem z papierkami<sup>5</sup>, co wydurzył od niej.

— Ma ona i bez tego dosyć grosza.

— I jeszcze z głodu przy nich zdechnie, bo drugiej takiej skąpej nie uświadczy<sup>6</sup> w całym świecie.

Gromadka górali chórem się zaśmiała z tego. Dziewczyna nie zważała na to, zdawała się nie słyszeć, co o niej mówiono, jeno ciągle poglądała niecierpliwie na mnie i kiwała na woźnicę, aby jechał. Był to więc rodzaj faktora górskiego, równie natrętna i przyczepna, jak nasi Żydkowie. Nie mogąc się jej pozbyć, kazałem jechać za nią.

Pomimo że konik wartko przebiegał nogami, biegła równo z wózkiem, jak pies gończy. Żyłaste jej nogi i chude piersi, widocznie przyzwyczajone były do takiego biegania, bo nie męczyła się nawet, ani zadyszała. Czasami tylko pomagała sobie, czepiając się ręką wózka, i wtedy rzucała mi przeróżne pytania.

— Wy tu pewnie na żętycę do nas?

— Nie. Jeno tak, dla powietrza.

— O! powietrze, że się chce oddychać; ale i żętyca dobra. Ja wam będę nosiła, dobrze? Bo ja tu wszystkim noszę z Miętusiego szałas. Dacie mi dziesięć centów za kwartę, a dziesięć za przyniesienie — no, to was przecie nie zuboży, ale zrobi wam dobrze. No, nosić wam?

— Zobaczę, później.

— Ja wam także mogę listy na pocztę nosić i z posyłkami chodzić do miasta, to sobie zarobię od was którego<sup>7</sup> krajcara.

— A dasz to ty radę tak biegać?

— A, ja tego od dziecka nauczona — to mi nie nowina!

— Można choroby się nabawić z takiej bieraniny.

— Kaj ta. Przyjdzie zima, to będzie czas wylegiwać się na przypiecku. A teraz, póki można co zarobić, to trzeba, żeby było na krupy i na sól.

— Kiedy ludzie mówią, że ty masz pieniądze?

Wydeła wargi z pogardliwym zadąsaniem, wstrząsnęła głową i rzekła:

— Co oni wiedzą. Gdybym miała, tobym nie chodziła jak oberwaniec jaki — o!

Tu chwyciła w palce zgrzebną, brudną koszulę i potrząsnęła nią.

— O! same strzępy. Człek koszuli uczciwej na grzbiecie nie ma.

Rzeczywiście, koszula była rozdarta w kilku miejscach, a przez łachmany przeglądało ciało chude, żyłaste, opalone. Całe ubranie jej składało się z owej potarganej koszuli, niebieskiej spódnicy łatanej i żółtej chustki, która okrywała jej głowę i uszy. Z pod chustki

<sup>3</sup>godnie — dobrze. [przypis autorski]

<sup>4</sup>loni (gw.) — przeszłego roku. [przypis autorski]

<sup>5</sup>papierki — banknoty. [przypis autorski]

<sup>6</sup>nie uświadczyć — nie zobaczyć. [przypis autorski]

<sup>7</sup>którego — jakiego. [przypis autorski]

wisiał czarny warkocz, a na czoło wychodziły kosmyki włosów, które co chwila bezwiednym ruchem wtykała pod chustkę. Nogi miała całkiem bose.

Mimo tego zaniedbania i nędzy nie była brzydka. Rysy twarzy może trochę były za ostre, ale regularne, a czarne oczy ruchliwe, mądre, nadawały im dużo życia i wyrazu. Im więcej obserwowałem moją dziką przewodniczkę, tem więcej interesującą jakoś mi się wydawała. Uroiło mi się nawet w głowie, że dziewczyna coś skrywa przed okiem ludzkim, że bieganie na posyłki w lecie, a wylegiwanie się za przypiekiem w zimie, nie może przecież stanowić jedynej treści jej życia; ciekawość kusiła mnie badać ją i zapytałem:

— Ty musisz dużo zarabiać?

— Jak się zdarzy — odpowiedziała krótko, jakby sobie nie życzyła mówić o tem dłużej.

Ta lakoniczność, za którą widziałem jakąś tajemnicę, zaostriła moją ciekawość. Chciałem jej znowu rzucić pytanie, gdy wtem dała znak woźnicy, aby stanął.

— To dom Wali. A to jego baba — rzekła, wskazując na młodą jeszcze dosyć góralkę, która przed chatą na murawie szła.

— No, prowadzę wam tu gościa — rzekła moja przewodniczka, wchodząc w zagrodę. Za to mi nie pożałujecie z parę dytków — prawda?

Gażdzina<sup>8</sup> spojrzała wzdorliwie przez ramię na mówiącą i nie przerywając sobie roboty, odrzekła:

— Ja ta nie pytam<sup>9</sup> twoich gości: u mnie obie izby zamówione.

Dziewczyna się odwróciła ku mnie i zbliżając się do wozu, spytała:

— No, handyż<sup>10</sup> was wieść teraz?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Niebo już pociemniało; pod drzewami i chałupami już gęsty mrok się rozsiadał, nie chciało mi się włączyć i tłuc po nocy po wsi, nie mając pewności, czy znajdę jaką wolną izbę.

Moja przewodniczka zaproponowała mi, abym u nich przenocował, to jutro łatwiej sobie poszukam jakiej uczciwej izby. Namyslałem się. Po tem co słyszałem przed karczmą na pochwałę Chranczówek, niebardzo ponętne mi się wydawały, szczególnie przy nadchodzącej nocy. Góralka musiała to zmiarkować, bo rzekła:

— I czegoż się boicie? Ludziska wam nabajali, a wy wierzycie, jak w ewangelję. A ja wam gadam, że wam tam będzie lepiej, jak wszędzie. Zobaczycie. Będziemy was mieli w wielkiej obserwacji, a taniej wam wypadnie, jak we wsi.

Widząc, że się waham, dodała z pewnem oburzeniem:

— E! wstydzicie się, boicie się jak stara baba. Ano na Chranczówkach mieszka jakaś imość z dziećmi, a nie boi się, choć nie ma takiego piszczetu.

Tu wskazała drwiąco na mój rewolwer, co mi wyglądał z za pasa. Uderzyła w słabą strunę — i choć nie grzeszyłem zbyt odważnie, nie chciałem znowu tak publicznie przyznać się do tego i w oczach dziewczyny uchodzić za tchórza najlichszego gatunku. Więc poprawiłem się na siedzeniu i rzekłem niby całkiem spokojnie:

— Ha, to jedźmy na te Chranczówki. Siadaj!

— Jedźcie, jedźcie. Ja polecę przodem, pokażę drogę koniowi.

Ruszyliśmy tedy. Droga była nierówna, koła co chwila uderzały o kamienie, wózek trzął niemiłosiernie i podskakiwał, że trzeba było trzymać się drabinek obiema rękami, żeby nie wylecieć. Woźnica biegł koło konia, świstał biczem i pogwizdywał, a góralka wyprzedziła wózek, pędząc naprzód; czasami ginęła z oczów wśród zmroku, to znowu zatrzymywała się i podpierała wózek w przykrzejszych miejscach.

Pomimo, że starałem się uchodzić za odważnego, choćby dlatego, żeby nie kompromitować mego rewolweru, jednak muszę się przyznać, że niebardzo dużo tej odwagi zostało we mnie, skoro minęliśmy wieś i znalazłem się w szczerem polu. Nigdzie koło drogi nie było mieszkań ludzkich, okolica była pusta i niemiła; wśród ciemnych pól bieleły się kamienne łożyska potoków, po których woda spadała z dzikim szumem. Przed nami czernił się las, który wnet nastrojona opowiadaniem górali wyobraźnia różnemi niebezpieczeństwami napełniła. Nawet wózek księżycy, co po granatowym niebie przesuwiał się jak łódka koło skał Giewontu, wydawał mi się, jakby się skradał zdradliwie za mną i był w zмовie ze złymi ludźmi z Chranczówki. I ja, co bywało nieraz, przesyłałem

<sup>8</sup>Gażdzina (gw.) — gospodyni. [przypis autorski]

<sup>9</sup>nie pytam (gw.) — nie żądam. [przypis autorski]

<sup>10</sup>handyż (gw.) — gdzież. [przypis autorski]

mu z zaufaniem moje miłosne cierpienia, w tej chwili tailem się przed nim z brakiem odwagi, w obawie, by mnie nie wydał przed tymi, którzy z tegoby skorzystać chcieli.

Ale jakoś szczęśliwie minęliśmy ów niebezpieczny las; minęliśmy jakąś małą karczemkę, w której już ciemno było i wyjechaliśmy na otwartzsze miejsce. Na tle nieba dojrzałem ciemną postać góralki, stojącą na kupie kamieni.

— O! patrzcie, tam mieszkamy. Prosto byłoby najbliżej, ale woda za duża, toby się wózek może przeфыrtnął. Trzeba będzie jechać na młyn.

— Jakto, gdzie mieszkacie? Ja tu żadnych mieszkań nie widzę — odezwałem się, usiłując napróżno coś dostrzec w ciemnej przestrzeni przed sobą.

— Tam — rzekła — o! tam na dole. Nie widzicie światła?

Spojrzałem na dół i dopiero teraz zobaczyłem tuż prawie pod nogami ale głęboko w dole parę światełek.

— To chyba w kopalni jakiej mieszkacie?

Wybuchnęła głośnym śmiechem:

— Tak wam się widzi po nocy. Zobaczycie jutro. Tu ładniejszy kraj, jak tam koło kościoła. I strach was ominie, jak się za dnia rozpatrzycie u nas.

I znowu się zaśmiała. Mnie jednak wcale na śmiech się nie zbierało i zły byłem na siebie, że mimo perswazyj górali dałem się wywieźć w te wertepy odludne. Ale wracać było niepodobieństwem i w milczeniu poddałem się konieczności.

Głośny szum wody objaśnił mnie, że się zbliżamy do mostu. Niezadługo, wózek zjechał gdzieś w dół, koła zadudniły po moście.

W progu młyna na tle oświetlonej sieni stał chłop jakiś barczysty i odezwał się, gdyśmy nadjechali:

— A wy dokąd?

— To ja — to ja z nimi — powiedziała góralka.

— Czy to ty, Hanka?

— Haj<sup>11</sup>!

— Kogóż tam wiesz?

— Ano, namówiłam sobie gościa na Chranczówki.

— Czy go dasz Jadzarzowi?

— Ba, jeszcze czego — tłusty poleć smarować. My go weźmiemy do siebie.

Rozmowa ta robiła na mnie takie wrażenie, jakbym był baranem i sływał rzeźników rozmawiających. Tymczasem góral mówił dalej:

— Ale, ale, wiesz, Sobek wrócił, pytał się o ciebie.

— Może?

— Dostaniesz swoje papierki, bo pono z grubemi pieniędzmi wrócił.

— O!

— Chłopisko będzie mogło teraz o żeniaczce pomyśleć.

— Ba, coby nie.

— No, jedźmy — zawołałem zniecierpliwiony.

— Zaraz, zaraz. No, ostańcie z Bogiem.

Kiwnęła młynarzowi, potem zbliżyła się do wózka i rzekła do woźnicy:

— Dajcie no, ja wam tu sama konia poprowadzę, bo wy nieświadomy miejsca, wnetbyście wywrócili.

Skręciła koniem na lewo; wózek poszedł po miękkiej trawie jak po dywanie i wnet stanęliśmy przed jakąś chatą. Jedna połowa jej była zupełnie ciemna, w drugiej, w małych szybkach był blask od ognia, co płonął na kominku. Przez uchylone do sieni drzwi wylatywały powikłane tony skrzypców.

— No, to tutaj — odezwała się Hanka. — Widzicie, będziecie mieli wesoło, bo brat mój muzykant, jak się patrzy. Grywa po weselach. — Hej! Jędreku, Jędreku!

Granie nie ustawało; tylko jakaś nieduża kobieta wyszła do sieni i ofuknęła moją przewodniczkę:

— Cicho, pałubo jakaś — pobudzisz mi dzieci. Czego się drzesz?

— Przywiozłam wam gościa

— Gościa? A gdzie go podziejesz?

---

<sup>11</sup>haj (gw.) — tak. [przypis autorski]



- Ano w tamtej izbie.
- A tatuś?
- Ba, nie mogą to oni leżeć w szopie? Dobrze i nam parę papierków zarobić.
- Hm, nie wiem, co Jędrak...
- To go się spytam — rzekła Hanka i pobiegła do izby.

Tymczasem ta, co wyszła z chaty, podeszła do wózka, obeszła naokoło jak kotka, potem stanęła przy mnie i przypatrzyła się bystro. Przy świetle padającym przez okno dojrzałem, że miała oczy sprytnie, profil wcale ładny, a włosy, co się wydobywały kosmykami z pod chustki, miały jasno-złotawy kolor i kręciły się nad czołem. Widok tej twarzyczki zmodyfikował nieco moje złe wyobrażenia o mieszkańcach Chranczówki.

Wtem wyszło dwóch górali przed dom.

- No, cóż — spytała góralka — dasz izbę?
- Hanka już ją onaczy<sup>12</sup> — rzekł do żony, a do mnie, uchylając kapelusza, powiedział:
- Witajcie!
- Więc można wysiąść? — spytałem.
- Zaraziczki będzie izba wymieciona ochędoźnie.

— A tymczasem może spoczniecie w piekarni — dodała żona i wprowadziła mnie do izby, gdzie gorzał ogień, otarła ławkę i podsunęła. Usiadłem. Górale także weszli za mną. Jeden z nich, widocznie gospodarz, dzierzył w rękę skrzypki i pobrząkiwał na strunach palcem. Drugi miał ubranie delikatniejsze, czystsze, niż inni górale, a w ruchach i w mowie przebijała pewna pretensjonalność do elegancji i szyku. Był to, jak się później dowiedziałem, brat owej zgrabnej żonki gospodarza, Tereski, dandys zakopiański. Liznął trochę nauki i miejskich obyczajów i imponował tem we wsi. Chłopi się śmiali z niedouczzonego głuptaka, ale dziewczętom podobała się jego gładka gęba, porcelanowe oczy, a że do tego miał zostać profesorem wielkiego i małego abecadła w pobliskiej wiosce, więc nic dziwnego, że nawet córki bogatszych gazdów chętnie zerkały na niego w karczmie i pod kościołem. Ale Sobek był wybredny i szukał gotówki. Nie taił się z tem wcale, że ta, coby chciała wydać się za niego, musiałaby mieć oprócz gruntu najmniej z pięćset papierków. Tak wysoko cenil Sobek nie tyle swoją urodę, ile inteligencję. Ukończył bowiem aż dwie klasy gimnazjalne, z czem mi się sam zaraz pochwalił, kontent, że znalazł sposobność popisania się kilkoma łacińskimi słowami i różnemi wiadomościami połapanemi w szkole. A że zasób tych prędko się wyczerpał, więc z kolei zaczął popisywać się tańcem.

Jest to najslabsza strona każdego górala; są na tym punkcie niesłychanie próżni, i taniec ich nie służy do wspólnej zabawy, ale do popisu pojedynczych. Prawda, że wymaga wiele zręczności, ale też góral popisuje się z tą zręcznością do znudzenia, jak nieraz nasze miejskie galopedy i fikacze, w rolach mazurowych. Jeżeli trafi na kogo, co go podziwia, to czasem pół godziny bez odpoczynku drepta i podskakuje i wywija nogami na jednym miejscu, a tancerka jak fryga kręci się koło niego, dopóki mu nie przyjdzie ochota chwycić ją pół, zakręci się z nią wtedy parę razy w hołupcu — i znowu zaczyna solo — i tak bez końca. Tak też i tu było.

Zaledwie zaczął tańczyć Sobek, wnet wsunęła się do izby Hanka i poczęła boczkować koło niego.

Sobek zobaczywszy to, ustał tańczyć i rzekł pogardliwie:

— Ja nie pytam takiej tanecznicy — i mignął na Tereskę. Ta odeszła od garnków, w których warzyła wieczrę, i puściła się wkoło, a Hanka zawstydzona przysiadła cicho w kącie.

Nie podobał mi się ten pan Sobek ze swoją elegancją, dumą i pretensjami, a że tańczył do tego bez upamiętania i choć pot lał się już z niego, nie myślał wcale kończyć tego choreograficznego popisu, więc wyniosłem się, nie czekając końca i poszedłem do przygotowanej dla mnie izby, na drugą stronę.

Była to tak zwana świetlica. Piec w niej tylko był bielony, ściany zaś gładko heblowane robiły ją podobną do wnętrza skrzynki. Górą na jednej ścianie wprost drzwi szła galeryjka rzeźbiona, na której stały bokiem talerze i miski kolorowe; niżej wisiały obrazy kupowane na odpustach, a między temi dzbanki różnej formy i wielkości, sprawiane

<sup>12</sup>onaczyć (gw.) — czyścić. [przypis autorski]

nie tyle dla potrzeby, ile dla parady. Toż samo nad łóżkiem na żerdzi wisały kożuchy, pierzyny, poduszki, w które każdy zamożny góral chętnie ubiera swoje mieszkanie, bo to daje miarę jego zamożności.

— No, czy wam tu będzie źle? — spytała Hanka, która weszła za mną. Nieprędko-  
byście gdzie taką porządną izbę znaleźli.

— A ile u was taka izba kosztuje dziennie?

— Tego nie wiem. To wam Jędrzek powie, bo on tu gazda. Ale mnie, to osobno dacie za to, com was wodziła po wsi.

Niemile drasnęło mnie to natrętne przypomnienie, więc by się prędzej uwolnić od natrętnej góralki, sięgnąłem do kieszeni i dałem jej kilkanaście krajcarów. Chwyliła je żywo i policzyła zaraz, a oczy świeciły się jej z radości.

— Ja was obsługiwać będę, dobrze? Bratowa nie dogodziłaby wam jak ja, bo to leniwa i harna<sup>13</sup> niewiasta. Ona więcej myśli o stroju, niż o robocie. I naco ma ona zarabiać, kiedy ona i tak gazdzina, jej nie potrzeba tego. No, jakóż zrobicie?

— Zobaczę! — odrzekłem niechętnie, i by się pozbyć natrętnej dziewczyny, udałem, że się zabieram do spoczynku.

— A może wam co potrzeba? może wody, może po co do karczmy skoczyć? Ja wszystko zrobię, ja wiem, że wy nie pożałujecie za to krajcarów, bo wy dobry pan.

— Jak będzie mi co potrzeba, to powiem — odrzekłem już na dobre zniecierpliwiony, i chcąc ją skłonić do prędszego wyjścia, zdmuchnąłem świecę.

— Wy już spać będziecie? — No, to miejcie dobrą noc.

Cicho skrzypnęły drzwi, co mnie przekonało, że wyszła nareszcie. Choć spać mi się nie chciało, jednak nie myślałem zaświecać powtórnie, by góralka nie narzucała mi się ze swemi obsługami. Otworzyłem tylko okienko i usiadłem przy niem.

Noc była ciepła, gwiaździsta. Dunajec szemrał i szumiał za brzoźowym gajem, psy czekały we wsi i głos trąby stróża nocnego odzywał się czasami. Giewont czernił się na tle nieba, jak śpiący sęp olbrzymi z rozpiętymi skrzydłami — ożywcze powietrze zalatywało od rzeki. Polykałem je spragniony; dla płuc zakurzonych pyłem miejskim, była to prawdziwa kąpiel. To też rozkoszowałem się nią i do późnej nocy siedziałem rozmyślając i marząc. Czasami dolatywały mnie rozmowy z drugiej strony sieni, a szczególnie wesole chichotanie Tereski, które nie było mi nieprzyjemnym. Śmiech ten dodawał słonecznych myśli do moich dumań, koło północy jednak, śmiechy i rozmowy ustały, drzwi w sieni skrzypnęły i na pole ktoś wyszedł z chaty.

— Idziesz już, Sobku, szczęśliwa ci droga — odezwał się kobiecy głos z pod ściany.

— Kto tu? — spytał góral ostro.

— To ja, Hanka — nie poznałeś mnie?

Dziwna rzecz, i ja jej głosu nie poznałem, bo był taki jakiś miękki, jakby go w jedwabie poowijał.

— A, to ty? Czekasz tu na mnie, jak diabeł na ludzką duszę. Boisz się o swoje pieniądze? Nie bój się, oddam ci, oddam.

— Ja się tam nie boję, bo wiem, że oddasz. Tylkom chciała dobrego słowa od ciebie. Bo ty się nawet nie przywitał jeszcze. A przecież to rok, jakieśmy się nie widzieli.

W głosie latawicy było tyle rzewności i głębokiego smutku, który nieśmiało skarżył się, że mi słuchającemu, wilgotno robiło się w oczach i coś szmeralo po sercu. Góral jednak innego musiał być usposobienia, bo szorstko odparł:

— No, i cóż z tego? Jakby mi się przyszło z każdym witać, toby człękowi gęby i nogi nie starczyło.

— Przecie my to niby krewniacy przez Tereskę.

— E, co mi to za krewieństwo — odrzekł wzgardliwie i zabierał się do odejścia.

Dziewczyna go zatrzymała nowem pytaniem.

— Sobek, czy to prawda, żeś przywiózł grube pieniądze?

— A tobie kto to powiedział? — spytał groźnie i z pewnym niepokojem góral, przystępując do Hanki z taką miną groźną, że się aż cofnęła:

— Ludzie we wsi gadają.

— Jacy ludzie? od kogo słyszałaś?

<sup>13</sup>harny (gw.) — hardy. [przypis autorski]

— Młynarz mi mówił.

— A, on! U niego język jak pytel, nic nie strzyma jeno wypaplec musi. Co za grube pieniądze — hm! A skądżeby ja wziął grubych pieniędzy? Zarobiłem trochę na węgierskiej stronie — to i cóż? Czy to grzech mieć pieniądze? Czy ja to już zawsze mam być goły?

— Ja ci nie zajrzę<sup>14</sup> twoich pieniędzy. Mnie to radość wielka, że tobie się dobrze powiodło. Może to moje pieniądze takie były zrzeczne.

— A! to ci o to idzie. Chciałaś się dowiedzieć, czy ci będę mógł oddać, ty chytra niewiasto. Tobie tylko o pieniądze idzie. Nie bój się, jutro dostaniesz wszystko.

Odszedł znowu kilka kroków. Hanka milczała — naraz odezwała się:

— Sobek!

— No co?

A gdy dziewczyna wahała się jakoś i ociągała, dodał niecierpliwym:

— No, gadaj, co masz gadać, bo ja nie sowa, abym po nocy marudził. Mnie trza spać.

— Sobek! — odezwała się dziewczyna, cedząc słowo po słowie, jakby je ważyła i z trudem dobywała z siebie — to ty może teraz o żeniactwie pomyślisz, hę?

— Jak mi się będzie podobało, to się ożenię. A tobie co do tego?

— Ale nie ożenisz się, tylko z babą, co ma pięć sta papierków, prawda?

— To się wie. Ja dziadówki nie chcę.

— Tu niekażdy gazda mógłby dać takie wiano za córką. Jędrzej z Leśniczówki mógłby, ale jego Kaśka już zamówiona mielnikowi do Orawy.

— Albo to Zakopane świat cały, nie będzie tu, to znajdę gdzie indziej.

— A jakby się tu znalazła taka?

— No, która?

— Ja już wiem taką, co ma; ale trzeba, żebyś czekał do św. Michała, to ci nagodzę taką.

— Widzicie, to ja nie wiedział, co z ciebie taka swacha — rozśmiał się rubaszenie.

— Ba! ty dużo nie wiesz jeszcze o mnie. No, zaczekasz?

— To się da widzieć.

— No, daj słowo, że będziesz czekał.

— Słowa nijakiego nie daję. Kota w worku nie chcę kupować. Jak zobaczę pieniądze i dziewczuchę, to pogadamy. A teraz mi nie bałamuć głowy, bo już nocka późna. Dobranoc.

I odszedł góral, pogwizdując. Hanka stała jeszcze długo pod chatą i podparłszy ręką głowę, dumiała.

Innemi oczami patrzałem teraz na tę dziewczynę, bo choć nie rozumiałem wiele z jej rozmowy z Sobkiem, ani mogłem się domyślić, do czego zmierzały jej pytania, jednak w tonie głosu jej było coś, co mnie przekonywało, że opinia, jaką ludzie wyrobili sobie o jej charakterze, niecałkiem była sprawiedliwa. Coś także dźwięczało w jej głosie, co zdradzało serce. Przynajmniej mnie się tak zdawało, że ta dziewczyna więcej warta, niż jej opinia. Niezadługo miałem sposobność przekonać się, że domysły moje były słuszne.

Było to jakoś w tydzień po moim przyjeździe. Miałem zrobić dwudniową wycieczkę do Morskiego Oka i zapowiedziałem to moim gospodarzom. Ale wycieczka z powodu grymaszenia kilku osób nie przysła do skutku; zrobiliśmy tylko mały spacer do Małej Łąki i wieczorem już wracałem do domu. Na drodze powiedziano mi, że mój gospodarz gra na weselu w karczmie, a żona jego jest tam także. Wstąpiłem do nich po klucz od chałupy, ale mi powiedzieli, że chałupa niezamknięta, bo Hanka została przy dzieciach. Zabawiwszy więc niedługo w karczmie, poszedłem do domu.

Gdy już był blisko, może na odległość dwustu kroków, spostrzegłem ze zdziwieniem światło w okienkach mojej izby. Wnet przyszy mi na myśl ostrzeżenia górali i niekorzystna ich opinia o uczciwości mieszkańców Chranczówki; a lubo jak Bijas wszystko prawie miałem przy sobie i na sobie, a ta reszta, com zostawił w domu, licząc w to i manuskrypty, niewieleby wzbogaciła złodzieja, to jednak zawsze wizyta takiego nieproszonego gościa w porze spóźnionej niebardzo miłe na mnie zrobiła wrażenie. Dobyłem moją rewolwerzynę i odciągnąwszy kurek, szedłem ku domowi. Ciekawość i pewna trwożliwość, która mi się czuć dawała pomimo posiadania rewolweru, przyspieszały tętno. Na palcach, bez szmeru prawie, zbliżyłem się pod samo okno i zajrzałem do wnętrza izby.

<sup>14</sup>zajrzeć (starop.) — zazdrościć. [przypis autorski]



Jakież było zdziwienie moje, gdy zobaczyłem Hankę, siedzącą na otwartej skrzyni i trzymającą w rękach paczkę banknotów, które chciwie przeglądała i liczyła. Tak była mocno tem zajęta, że choć wszedłem do izby, nie słyszała. Dopiero kiedy stanąłem tuż przy niej, wrzasnęła przeraźliwie przestraszona i trzymając oburącz papiery, przytuliła się z niemi do skrzyni.

— Nie bój się, niemądra, to ja — rzekłem, uspakajając ją.

Obejrzała się i poznawszy mnie, podniosła się; była jednak blada jak ściana i drżała jeszcze.

— O! dla Boga — odezwała się zdyszonym, urywanym głosem — toście mnie strachu nabawili. A wy skąd się tu wzięli? Mieliście nie wrócić aż jutro.

Mówiąc to, pchała banknoty do worka i usiłowała je ukryć przede mną.

— Nie spodziewałaś mnie się i przeglądałaś swoje skarby?

— Jakie skarby? Ja o żadnych skarbach nie wiem — mówiła z głupią miną.

— Daj pokój, Hanka, nie udawaj. Widziałem przez okno. Nie bój się, ja cię nie wydam, ani ci skarbów twoich nie zabiorę.

— No, dyć ja wiem, co wy uczciwy człowiek.

— Więc tedy prawda, co ludzie mówią — rzekłem siadając — że ty masz pieniądze?

— Ta zebrałam trochę, bo człowiek nie doje, nie dośni, narobi się, nalata — to przecież zawsze kapnie od ludzi jaki krajcar.

— Musiało często kapać, skoroś już tyle zebrała?

— Alboż wiecie wiele? — spytała, patrząc mi niespokojnie w oczy.

— Nie wiem; ale mi się zdaje, że będziesz miała kilkaset. Prawda?

— Ba, kiedy jeszcze nie mam tyle, wiele mi potrzeba — rzekła z westchnieniem i zamysliła się. — Potrzeba mi pięć stów — a do tego jeszcze daleko — dodała smutnie.

— A tobie naco potrzeba tyle pieniędzy?

— O, to moja rzecz. Jak będę miała tyle, to mi już nic nie będzie brakowało do szczęścia.

— Będziesz mogła wtedy wydać się za Sobka?

Zaczerwieniła się tak, że twarz jej śniada wyglądała jak rozpalone żelazo, i wypatrzyła się na mnie osłupiałym wzrokiem.

— A wy skąd wiecie? To wy chyba czarownik — rzekła z przestachem. — Ja tego nikomu nie powiedziała, nawet księdzu przy spowiedzi, — skąd wy wiecie o tem?

— To moja rzecz; dość, że wiem.

— Ale skąd? Przecież we wsi nikt wam powiedzieć tego nie mógł, bo ja nikomu nie śmiałybym była tego powiedzieć.

— Dlaczego?

— Dlaczego? A czyby to nie było śmiechu z tego, gdyby się dowiedziano, że taka latawica, dziadówka, chce za męża Sobka, co jest najśwarniejszy parobek we wsi.

— Więc ty go kochasz?

— Ba, gdybym go nie kochała, czybym to się tak głodziła, harowała od rana do nocy, poniewierała się jak pies między ludźmi? Ale to wszystko bez tego Sobka. Bo trzeba wam wiedzieć, że on chce gwałtem bogatej dziopy<sup>15</sup> Słyszałam to na weselu Jędrka. Kiedy go namawiano do żeniaczki i radzili mu to tę, to ową, on powiedział: każda dobra, byle miała grunt i pięć stów papierków. Ja siedziałam wtedy przy piecu, i kiedy to usłyszałam, to jakby mnie wrzącą wodą kto oblał, tak mi się zrobiło gorąco, a potem w domu ani rusz usnąć; było mi, jakby kto ciało świecami palił, a w głowę ćwiekiem wbiły się owe pięć stów papierków. Gdybym je miała — myślałam sobie — toby Sobek był mój. I od tego czasu zaczęłam sobie odmawiać wszystkiego, skąpiłam sobie na jedzenie, chodziłam obdarta, bo mi żal było każdego krajcara na łachy<sup>16</sup> — pracowałam, zarabiałam, gdzie można było, handlowałam krajcarami gorzej od Żyda; ludzie mną za to poniewierają, wyśmiewają, zbiedziałam od ciężkiej pracy i wyschłam jak trzaska; ale będę miała, com chciała. Bo połowa gruntu po tatusiu mnie się patrzy<sup>17</sup>. A na jesień zaniosę Sobkowi pięć stów papierków.

— A jak cię nie zechce?

<sup>15</sup>dziopa (gw.) — dziewczyna. [przypis autorski]

<sup>16</sup>łachy (gw.) — szaty. [przypis autorski]

<sup>17</sup>patrzy (gw.) — należy. [przypis autorski]

Bryzgnąłem jej jak zimną wodą tem pytaniem, by ją otrzeźwić trochę, bo ilem poznał Sobka, wiedziałem, że niewart takiej charakternej dziewczyny.

Wzdrygnęła się, spojrzała na mnie i pomyślała chwilkę, a potem potrząsnęła niedowierzająco głową i rzekła:

— Nie, onby tego nie zrobił. Ja słyszałam, jak przysięgał, że się z taką ożeni.

\*

Domyśli się zapewne łatwo najniedomyślniejszy czytelnik, że odtąd innemi już oczami spoglądałem na Hankę, że przez wzgląd na nią pogodziłem się także z Chranczówkami i nie myślałem już o przeprowadzeniu się do wsi, zwłaszcza, że położenie chaty, w której mieszkałem, także mnie przywiązało do miejsca. Chata stała na stoku Gubałówki, lesistego wzgórza, skąd szeroki był widok na całą zakopiańską dolinę, pokrajaną łożyskami potoków, i na całe Tatry od węgierskich wyniosłych szczytów, aż po Orawskie góry. Oko jak orzeł mogło bujać w szerokiej przestrzeni nieba. Gospodarze także byli niezły ludziska, Jędrzek mruk wprawdzie, mało gadał i fajka jak kłódka wisiała mu cały dzień w ustach, ale zato wieczorami, leżąc wznak na łóżku, wygrywał mi na skrzypkach różne góralskie i węgierskie melodie, a Tereska znowu tak wdzięcznie szczyrzyła do mnie białe ząbki, taka była wesoła, rozmowna, że prawdziwa przyjemność była patrzeć na tę figlarną kobietkę i rozmawiać z nią; dodawało to humoru i apetytu. Dzieci jej także miały swoje zalety, bo były niekrzykliwe i ani ich znać nie było koło domu: starsze najczęściej boso, w zgrzebnych koszulkach brodziły po łąkach za kwiatkami, a najmłodsze wisiało w izbie na żerdzi w płachcie, jak w hamaku zawinięte. Miałem tedy spokój, dobrych gospodarzy i piękne położenie.

Hankę widywałem tylko tyle, gdy mi rano sprzątała izbę, lub przyniosła jakie sprawunki, lub list z miasta. Zresztą cały dzień była we wsi, do późnej nocy. Biegała jak chart za zarobkiem, podejmując się wszystkiego, co tylko zysk przynosiło. Obsługiwała, faktorowała, najmowała się do noszenia rzeczy na wycieczki, żętycy z szałasów, listów na pocztę; a nawet do opowiadania powiastek ludowych i piosenek. Do tej ostatniej posługi wynajmowała ją sobie Gwiazda literacka, chcąc łatwym sposobem przyjść do dokładnej znajomości ludu i miejscowości; wynajmowała sobie latawicę jak malarz modela i kazała jej opisywać sobie ważniejsze miejscowości w górach, których jej się zwiedzić nie chciało, opowiadać podania ludu i pieśni jego nucić — wszystko to rozumie się dlatego, aby mieć materiału jak najwięcej do pisania.

Hanka, z początku, jak mi mówiła, była zakłopotana tem żądaniem i nie wiedziała jak temu podolać, ale w krótkim czasie przyszyła do takiej wprawy, że gdy Gwiazda coraz więcej ją naciskała pytaniami, komponowała jej przeróżne powieści, które kiedyś jako skarbnica ludowych podań figurować będą może w jakim zbiorze lub piśmie. Wypadki takie, przytrafiają się dość często owym badaczom ludu, którzy z książeczką i ołówkiem w rękę, przejeżdżają przez wieś i chcą, by lud za kieliszek wódki lub hojny datek pieniężny wyśpiewał im i wygadał napoczekaniu swoje tajemnice, swoją wiarę, bóle, tęsknoty, nie wiedząc snąc o tem, że to tylko drukowani poeci skorzy są do takiego natychmiastowego wywnętrzania wszystkich skrytości duszy. Lud chowa takie rzeczy na dnie duszy, i potrzeba długo z nim żyć, wtajemniczyć się w jego życie, by dobyć z jego głębin te twory jego wyobraźni i uczucia. Zagadnięty o to obcesowo, albo milczy, albo kłamie. Hanka robiła to ostatnie; wymyślała niestworzone rzeczy, co jej ślina na język przyniosła, podawała najfałszywsze nazwiska gór, skomponowane naprędce powieści, a Gwiazda spisywała to wszystko w dobrej wierze i z przekonaniem, że studjuje lud. Przyszyła nawet na podstawie jednej takiej powieści do odkrycia łączności i podobieństwa między powieściami naszego ludu, a indyjskimi. Podobieństwo rzeczywiście mogło być bardzo wielkie, gdyż Hanka powiastkę tę słyszała ode mnie, a ja wziąłem ją żywcem z Lalla Rouck. Spekulacja ta literacka bardzo spodobała się górskiej dziewczynie, znajdowała korzystniejszym daleko komponowanie gadek, niż noszenie żętycy, bo Gwiazda płaciła nieźle, i stos notatek etnograficznych, geograficznych, rósł pod rękami Gwiazdy z wielką szybkością. Były tam wprawdzie i rzeczy ciekawe i prawdziwe, bo Hanka tylko w potrzebie uciekała się do kłamstwa, to jest, chciałem powiedzieć, do inwencji poetycznej — i nagadała dużo o Mateju, rozbójniku zakopiańskim, o życiu juhasów w szałasach i na halach, o weselach,

jak się odbywają w górach, o skarbach zaklętych lub ukrytych po lasach i mnóstwo innych rzeczy, bardzo zajmujących, o których jednak Goszczyński, Zeiszner i inni, dawno już podali wiadomość. Nasza Gwiazda nie wiedziała o tem, bo zwyczajem wielu literatów współczesnych nic prawie nie czytała, prócz własnych utworów — i była najpewniejszą, że ona pierwsza jak Kolumb drugi, poda światu literackiemu wiadomość o tych nieznanych krainach. Być może, iż chodząc i szperając, możeby znalazła była coś nowego; ale pani Gwiazda nie wychylała się prawie za próg swego mieszkania, oczami tylko odbywała spacerów po górach, bo Fredo nie znosił wycieczek górskich. Raz był w Kościeliskach i dostał kataru, a drugi raz psy na Małej Łące tak go poszarpały, że Gwiazda znienawidziła góry, górali, a szczególnie psy liptowskie, nie mające żadnej delikatności, wychowania, ani względów dla takich stworzeń jak Fredo. Zyskała na tem Hanka, bo odtąd jej język stał się jedynym źródłem wszelkich wiadomości uczonej literatki o górach, — a paczka banknotów w skrzynce powiększyła się zapewne o kilka papierków.

Cieszyło mnie to bardzo — rozumie się nie to, że papiery literackie mnożyły się na udęczenie czytającej publiczności — jeno że papiery Hanksi przybywały, i zbliżały ją do upragnionego celu, do którego szła z takim wytrwaniem i energią.

Ta siła charakteru i uczucia budziła we mnie szacunek dla prostej dziewczyny i tak żywo zająłem się jej losem, że prawie z równą jak ona niecierpliwością wyczekiwałem, rychło li stanie u celu pragnień swoich. Brakowało jeszcze czterdziestu papierków. Była to dla niej ogromna suma, na którą trzeba było ciężko pracować kilka miesięcy, a tu już goście, od których jedynie zarobić coś mogła, rozjeżdżali się powoli. Hanka z przestrachem mówiła mi raz o tem, że może przed zimą nie zbierze sobie tych pieniędzy. Chciałem jej dopomóc — rozumie się nie z własnej kieszeni, bo tej ubytek czterdziestu guldenów mocno dałby się uczuć — ale drogą kwesty, praktykowanej przez najbogatsze osoby; dlaczegóżby i mizerny literatek nie mógł zdecydować się na tak łatwy sposób czynienia dobrze. Udałem się tedy do osób majątniejszych mieszkających wówczas w Zakopanem, opowiedziałem im historję góralskiego romansu, bez wymienienia jednak nazwisk głównych bohaterów i poprosiłem o składkę. Wielu znalazłem chętnych, szczególnie między młodymi, którzy jakoś lepiej umieli odczuć i zrozumieć głębokość uczucia mojej protegowanej. Tylko pani Gwiazda znalazła tę cichą miłość zanadto trywjalną i pozbawioną głębszych motywów dramatycznych, i nie dała nic prócz obietnicy dziesiątej części z czystego dochodu z jakiegoś poematu *Idealna*, który miał wyjść niezadługo.

Mimo że Gwiazda mi nie dopisała, na którą może najwięcej liczyłem — zebrałem w przeciągu tygodnia około trzydzieści dwa guldeny, które niebawem zaniósłem Hance.

Trudno sobie wyobrazić radość, z jaką przyjęła tę niespodziewaną pomoc. W pierwszej chwili przestrach i jakby dziwna trwoga zamaściła radość — i nic dziwnego. Przyzwyczajona była każdy krajcar zdobywać sobie z trudem. Kilka dni nieraz czekać musiała zanim z drobnych zarobków uzbiera się gulden cały. A tu naraz przyszła do kilkudziesięciu guldenów bez najmniejszego zachodu. Nie mogła dowierzać takiemu szczęściu i przestraszyła się. Dopiero kiedy pierwsze trwożne uczucie minęło i kiedy sobie pomyślała, że za kilka tygodni spełnią się jej marzenia, nie posiadała się z radości. To płakała, to śmiała się naprzemian, to całowała mi ręce, to klęczała i odmawiała pacierze. Odtąd każdego dnia zdawała mi rachunek z zarobionych pieniędzy i wspólnie obliczaliśmy, wiele prawdopodobnie dni oddzielało ją od pożądanego celu. W sobotę przed Matką Boską Zielną miała już trzydzieści siedm guldenów.

Tymczasem w sam dzień Matki Boskiej ksiądz proboszcz ogłosił po kazaniu z ambony między innymi także zapowiedzi Sobka Gąsienicy z Maryną Kajtusianką, córką Jędrzeja z Leśniczówki. Zdawało mi się, że się ziemia chwieje ze mną, kiedym to usłyszał; ciche słowa księdza huczały mi w uszach, jak huragan. Było to bardzo naturalne uczucie. Odkąd bowiem wziąłem żywy udział w losach biednej dziewczyny, żyłem prawie jej pragnieniami i oczekiwałem ich spełnienia z równą, niecierpliwością i gorączką, z jaką np. sportsmeni patrzą na bieg swoich wierzchowców. I ona biegła na wyścigi z losem i w chwili, kiedy miała dobiec do celu — upadła tak okropnie. Wyobraziłem sobie, co się tam dzieć musi Hance, jeżeli wie już o tem. Upatrywałem jej między dziewczętami w kościele, małą mając nadzieję zobaczenia jej, i w duszy życzyłem sobie dla niej samej, aby nie była w tej chwili.

Tymczasem naprzekór moim życzeniom spostrzegłem ją wprost naprzeciw ambony. Klęczała sztywnie, jak z drzewa wystrugana figura, palce miała zaciśnięte, usta otwarte,

a oczy trzymała wciąż jeszcze nieruchomo wlepione w ambonę, choć księdza dawno już na niej nie było. Dla obojętnych wyglądała trochę na zagapioną idiotkę; mnie jednak nietrudno było z tych sparaliżowanych boleścią rysów odczytać, co się tam musiało dziać w duszy biednej dziewczyny, i serdecznie żał mi jej było.

Kiedy powtórnie zdecydowałem się spojrzeć na nią, miała głowę pochyloną ku ziemi, palcami przebierała różaniec i szybko ruszała wargami. Snać chciała słowami pacierza zagłuszyć serce.

Po sumie straciłem ją z oczów. Kiedy wieczorem ze spaceru wróciłem do domu i nie zobaczyłem jej, spytałem Tereski:

— A gdzie Hanka?

— A kto ją wie? Lata świątami — to u niej zwyczajna rzecz.

— Ale była na południe w domu?

— Nie, nie była.

Zaniepokoiło mnie to. Według moich pojęć o miłości, czerpanych z najlepszych romansów i powieści, spodziewałem się jakiejś katastrofy, tem bardziej, że Hanka przez całą noc nie pokazała się. Na drugi dzień rano zwróciłem uwagę Tereski, że może Hance co złego się stało. Ale roześmiała się z mojej troskliwości i rzekła:

— Nie bójcie się, takiego ladaco jak Hanka to się nawet nieszczęście nie chwyci. Raz zaniemogła nam tak ciężko, że najlepszego chłopca zmietłaby taka choroba, myśleliśmy co już po niej — i ksiądz był już z Panem Jezusem — a i tak się wylizła. To taka nieprzymierzając jak żyła, gryź i gryź, i nie zgryziesz.

Pokazało się, że Tereska miała słuszność, Hance nic się nie stało — i zjawiła się w domu o zwykłej godzinie do posługi. Wprawdzie mnie w domu wówczas nie było, ale gdy wróciłem, zastałem posprzątaną i zamiecioną moją izbę. Następnego dnia także jej nie widziałem, bo wcześniej wybrałem się na wycieczkę w góry, z której wróciłem dopiero za parę dni. Zostałem Hankę pracującą jak dawniej, tylko już mniej biegła na posyłki i obojętniejszą zrobiła się na pieniądze. Literacka Gwiazda narzekała na nią, że od paru dni nie pokazała się u niej, choć jej dobrze płaciła za powiastki i pieśni ludowe. Wytłumaczyłem jej dlaczego — i dodałem:

— Teraz Hance nie chce się opowiadać powieści, gdyż sama je robi. Mogłaby pani śmiało zrobić z niej bohaterkę, zdaje mi się, że bardzo nadaje się do tego.

Ale Gwiazda oświeciła mnie, że na heroinę smutnego romansu potrzeba kobiety wyższych uczuć, któraby miała świadomość tych uczuć, bo jak zbrodnia popełniona bez świadomości i poczucia złego nie może nazywać się zbrodnią, tak samo miłość bezwiedna nie jest miłością. Zacytowała mi reguły z estetyki Libelta, Fiszera, Lemckiego i usiłowała przekonać mnie, że uczucia takiej prostej dziewczyny nie wychodzą ponad poziom realizmu i trywialności, że to com w tem dopatrzył wzniosłego, było tylko mojem subiektywnem zapatrywaniem.

Po tylu argumentach musiałem ze wstydem cofnąć moją propozycję. Pomimo jednak zapewnień Gwiazdy co się tyczy nieświadomości, z jaką proponowana przeze mnie na bohaterkę dziewczyna popełniała miłość żywiłem w głębi duszy trochę inne przekonanie i wierzyłem, że dziewczyna lubo nie podług prawideł estetyki, ale zawsze cierpieć musi i szanując to cierpienie, bałem się w rozmowie z nią dotknąć tego drażliwego przedmiotu, nie chciałem ją trzymać rany, której nie umiałem leczyć. Ale sama rozpoczęła raz ze mną mówić o tem. Spotkałem ją nad Dunajcem około brzoźowego gaju. Siedziała wsparta obiema rękami o próżne wiadro i zagapiła się na rzekę. Mogłem łatwo domyśleć się o czem myślała. Chód mój obudził ją z zadumy, poruszyła się, spojrzała na mnie i odezwała się ze smutnym uśmiechem:

— Widzicie, wasze pieniądze nie przyniosły mi szczęścia. Sobek żeni się z Kajtusianką. Słyszeliście o tem?

— Słyszałem.

— To już taka wola Boska. Sobek widać nie był mi przeznaczony. Żeby mu choć družką być mogła, ale to będzie trudno; Kajtusianka harda dziewczyna, nie chciałaby pewnie takiej dziadówki jak ja mieć na swoim weselu.

— Jakto — chciałabyś być na weselu Sobka?

— A czemużby nie? Wszak wiecie, że go mam rada.

Zdumiałem się. To już sprzeciwiało się wszelkim regułom estetycznym o miłości — przekraczało granice pojęć świata ucywilizowanego. Widziałem w tym świecie panny, które zawiedzione w miłości spazmowały, mdlały, trwały się, wstępowały do klasztoru, a nawet szły zamąż; ale żeby która z nich chciała być družką na weselu, na którym nie mogła być panną młodą — tego mi się nigdy widzieć nie zdarzyło, na to trzeba być nieokrzesaną chłopką, i wytłumaczyć sobie tego psychologicznego fenomenu nie umiałem. Dopiero pani Gwiazda wyjaśniła mi, że to jest tępe odczuwanie wrażeń, znieczulenie nerwów.

— Tylko my — mówiła, tuląc do piersi swego Freda — umiemy odczuwać silnie. Nasze wydelikaczone nerwy są jak harfy eolskie, na które najłżejszy powiew uczucia działa.

Nie mając pod ręką żadnego lepszego rozwiązania zagadki psychologicznej, musiałem przyjąć z konieczności tę, jaką mi podała szanowna literatka. Niedaleka przyszłość pokazała, że Edyp w spódnicy nie omylił się bardzo, posądzając moją bohaterkę o znieczulenie nerwów i prostackie usposobienie, bo w tydzień niespełna dowiedziałem się, że młynarz Walek oświadczył się o Hankę i został przyjęty. Wprawdzie, jak to wyżej powiedziałem, i panny o wydelikacowanych nerwach umieją zrobić coś podobnego, ale umieją podobne nienaturalne skoki psychologicznie, etycznie, estetycznie, a nawet prawnie usprawiedliwić; tymczasem Hanka najordynarniej w świecie przyznała się, że zrobiła to dlatego, aby całe życie nie chodzić z warkoczem i że wie, iż Walek dobry chłop. Był to ten sam młynarz, który owego wieczora, w którym pierwszy raz przyjeżdżałem do Chranczówki, rozmawiał z Hanką około mostku. Wspomniał jej wtedy coś o Sobku, być więc może, iż wiedział, a przynajmniej domyślał się skłonności Hanki dla niego i dlatego sam chował się ze swojemi sentymentami, choć miał wielką ochotę żenić się z Hanką od chwili jak widział, że trzy ćwierci korca zboża dźwignęła jak nic z wozu i wyniosła do młyna. On już nie mógł dokazać tej sztuki, bo mu piąty krzyżyk przeszkadzał; więc dziewczucha z taką siłą byłaby jak raz dla niego, a przytem szło mu o opierunek siebie i dzieci, których miał kilkoro po nieboszczce. To też skoro wymiarkował, że z małżeństwa Hanki z Sobkiem nic nie będzie, poszedł z flaszką wódki do jej chaty, napił się do niej, ona nie odmówiła i Walek poszedł na drugi dzień dać na zapowiedzi.

Tak więc oczekiwana przeze mnie tragiczna katastrofa miała się zakończyć dwoma ślubami. Chciałem być obecnym przynajmniej na jednym z nich, bo nie miałem sposobności nigdy przypatrzeć się w górach ceremonjom weselnym. Do tego jeszcze Jędrzej Kajtusiak wybrał się do nas mieszczuchów, bawiących w Zakopanem, z solennem zaproszeniem, bo, jak się ładnie wyraził, panowie są kolkami a lud prosty płotem, i jedno bez drugiego nic nie znaczy: więc trzeba nam być zawsze razem. Ujęte taką przemową wszystkie prawie kolki przyrzekły uczestniczyć w obrzędzie ślubnym.

Tymczasem na kilka dni przed weselem, kiedy już kołaczki były napieczone i barany poszły pod nóż, pojawili się we wsi, wcale na obrzęd ślubny nieproszeni goście, dwaj żandarmi, udali się specjalnie do pana młodego i udekorowawszy go dwiema bransoletami żelaznemi, powieźli do Sącza...

Pokazało się, że elegancki Sobek, w czasie swego pobytu na Węgrzech, w towarzystwie kilku innych, podobnych jemu złotych młodzieńców, zrobił wizytę jakiemuś magnatowi węgierskiemu, w porze nader niewłaściwej, bo w nocy — a w sposób także nieprzyjęty dotąd przez cywilizację, bo przez okno, i nie chcąc przez delikatność budzić właściciela, zabrał sobie od niego na pamiątkę różne kosztowności, które potem usłudźni Żydkowie zamienili mu na gotówkę. Być bardzo może, iż te pieniądze skłoniły Kajtusiaka, że się zdecydował oddać córkę swą za niedosłego kandydata do stanu nauczycielskiego — i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kodeks i żandarmi. Stanowiło to przeszkodę ślubną, o której żandarmi jednak nie dali znać według przepisu kanonów kościelnych do parafii, ale wprost do sądu.

Co gorsza — przeszkoda ta stała się także przeszkodą do zawarcia drugiego małżeństwa, a to z przyczyny nieobecności panny młodej, gdyż Hanka, skoro jej tylko powiedziano, że Sobka wzięto do kryminału do Sącza, spakowała węzełek, w który włożyła także ów woreczek zgrzebny z banknotami, i poszła za nim. A kiedy jej się pytałem, poco tam idzie — odpowiedziała bardzo naturalnie i bez patosu:

— A dyć on teraz nie ma nikogo. Kajtusianka pewnie go ani znać będzie, skoro go takie nieszczęście spotkało. Dobrze to, że choć ja czasem z dobrem słowem pójdę do

niego. Przecież sędziowie nie heretyki — to puszcza do niego. A może mu i coś pomóc będzie można; ludzie wszędzie lubią pieniądze — a ja ich nie pożałuję dla niego.

I poszła.

Żał mi było dziewczyny. Bałem się, że siebie zniszczy, a Sobka nie ocali i zmarnieje w poniewierce; cieszyłem się jednak, że będę mógł przekonać Gwiazdę, iż moja bohaterka nie była znowu z tak podłej gliny ulepioną, skoro się mogła zdobyć na takie poświęcenie. Pewny triumfu poszedłem do niej w tym zamiarze.

Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu, czcigodna literatka przekonała mnie, że się grubo myliłem, bo według pojęć estetycznych, co jest pięknem, jest zarazem dobrem — a że miłość Hanki do złoczyńcy nie można nazwać rzeczą dobrą bez zdeptania wszystkich praw moralności i zasad publicznego porządku, a więc nie może być i piękną.

— Wszak ona kochała, nie wiedząc, że on zbrodniarz — rzekłem, usiłując jako tako bronić mojej bohaterki; ale mi odparła z uniesieniem:

— Prawdziwa, wielka, szczytna miłość — rzekła — ma siłę przeczcucia, posunięta do jasnowidzenia. Istota z wyższym sercem odczuje zbrodniarza. Mój psina — ciągnęła dalej, całując mokre kudełki drogiej istoty — każdego złego człowieka zaraz zwietrzy i szczeka.

Widziałem z tego, że nie uda mi się namówić Gwiazdy do napisania powieściowego szkicu o mojej latawicy, a że wbrew estetycznym regułom, miałem na dnie duszy to uparte przekonanie, że w tym prostym krzemieniu, znalezionym w górach — rozumiem pod krzemieniem Latawicę, nie Gwiazdę — są błyszczące kryształki diamentowe, które warto pokazać, więc rad nierad, wziąłem sam zardzewiałe pióro z teki i skreśliłem ten szkic.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/latawica-balucki>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, *Latawica*. Nowela, Nakład księgarni Św. Wojciecha, Poznań-Warszawa, 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-0054-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).